

Lwie szczenie

27 lipca 2008

Stojąc w kolejce po poranną gazetę, zauważam, że wszystkie dzienniki wydrukowane są dziś z ukośną wstęgą w państwowym, błękitnym kolorze. W ten sposób zawsze obwieszczane są ważne uroczystości państwowo-kościelne oraz wiadomości szczególnie korzystne dla reżimu Dziadka. Uroczystości żadnych na dziś nie przewidywano, a więc... czyżby jednak? Pełen złych przeczuć proszę o „Kuriera”. Rzucam okiem... No tak. Miałem rację. Złapali go.

Ogromny tytuł u samej góry oznajmia: BANDZIOR STULECIA UJĘTY. Poniżej widnieje zdjęcie zmasakrowanej twarzy Augustina. Jak donosi specjalny wysłannik, dziś w nocy w pobliżu Szombathely od dział conandosów „Trupia Ręka” pod dowództwem majora von Rottberga wytropił i po krwawej walce pojmał najgroźniejszego przestępcę ostatnich lat, wroga państwa i ludzkości, mordercę, podpalacza, gwałciciela i truciciela, osławionego „Wilka” Varallo. Zbrodniarz został w trybie natychmiastowym sprawiedliwie osądzony i skazany na karę śmierci w paszczy lwa. Wyrok zostanie wykonany dziś po południu na placu egzekucyjnym stołecznego Ogrodu Zoologicznego, dokąd skazany zostanie dostarczony śmigłowcem hańby. Zapraszamy mieszkańców stolicy do tłumnego uczestnictwa w akcie sprawiedliwości...

Czuję lekki ucisk w gardle. Tak skończył się twój sen o wolności, Augustinie... Wyrzucam gazetę do kosza, pomalowanego – a jakże! – na błękitno; w naszym Ogólnoświatowym Państwie wszędzie panuje wzorowy, jednolity porządek. Kosze na śmieci stoją równo co sto metrów na każdej ulicy, a nawet na szosach, zastępując używane dawniej słupki odległościowe. Śmiecenie grozi konfiskatą mienia i zesłaniem na przymusowe roboty w miejskim przedsiębiorstwie śmieciarskim. Drepczę do domu. W bramie zaczepia mnie dozorca.

– Słyszał pan, panie Biernacki, co podali w radiu? – pyta. Zaprzeczam.

– Wie pan, dzisiaj o dwunastej ma być egzekucja jakiegoś szczególnie ważnego zbrojaka i ponoć sam Marszałek, oby żył wiecznie, wybiera się na nią z całą rodziną. A potem ma przez godzinę nakładać ręce na wszystkich, co się zgłoszą! Nie chce pan przypadkiem skorzystać? Bo ja w lekarzy to już nie wierzę. Krzyże mnie bolą i bolą, może ręce Marszałka, oby żył wiecznie, coś pomogą?

– Nie, nie, czuję się dobrze – odpowiadam. Omijam go i idę do siebie, na górę. Jacy to ludzie dzisiaj ciemni... Spodobało się Dziadkowi odgrzebać stary, królewski zwyczaj uzdrawiania dotknięciem

rąk pomazańca. Ponoć już tysiąc osób uleczył. W statystykach za zeszły rok wyprzedza Madonnę z Lourdes, świętego Ojca Pio i wszystkich najsłynniejszych healerów, z samym Siergiejem Kaszpirowskim-juniorem na czele, razem wziętych. Wiara czyni cuda. Dobrze to Dziadek wie i umie wykorzystać, a niech to szlag trafi! I jak tu mówić ludziom o wolności, gdy masy tak uwielbiają Marszałka, że rozszarpałyby na strzępy nieszczęsnego Augustina, gdyby nie pozwolono zrobić tego lwu?

Robiąc śniadanie wciąż myślę o Augustynie. Gdyby moi przełożeni wiedzieli, że w latach studenckich utrzymywałem towarzyskie kontakty z późniejszym królem buntowników, pewnie nie objąłbym tak ważnej funkcji, jak dyrektora Instytutu. Augustin nie ukończył studiów; wyrzucono go na piątym roku za organizowanie opozycji politycznej na uniwersytecie. Groziło mu więzienie. Uciekł jednak, znikł w nieprzeniknionych ostępach puszczy amazońskiej, gdy ukrywało się wielu takich jak on. A po jakimś czasie, mniej więcej wtedy, gdy robiłem doktorat, świat usłyszał o nim jako o dowódcy Złotej Gwardii, legendarnego oddziału partyzanckiego, przed którym drżeli gubernatorzy, starostowie i komendanci w obu Amerykach. Wkrótce zresztą również i w Europie.

Potem nastał czas conandosów. W morderczej, nieubłaganej wojnie Złota Gwardia została rozbita. Augustin umknął z niewielką garstką towarzyszy. Przez trzy lata wymykał się prześladowcom. Aż wreszcie dziś przyszło to, co moim zdaniem było od początku nieuchronne. Zbyt wielka była różnica sił.

Wątpliwe, by nieliczne miejscowe bojówki międzynarodówki libertystycznej odważyły się na jego odbicie. Z innych miast nie zdążą ściągnąć. Zresztą teren będzie tak obstawiony tajniakami, policjantami i conandosami, że nawet mysz, gdyby nafaszerowano ją materiałem wybuchowym i chciano użyć do wysadzenia Dziadka, się nie: prześliźnie. Straszna to śmierć – w paszczy lwa. Neron rzucał na pożarcie chrześcijan, Dziadek – libertystów. Jedni i drudzy – marzący o nieziszczalnym... Pójdę zobaczyć tę śmierć.

Jest za dwadzieścia dwunasta. Kurt, mój znajomy, czeka już na mnie przy wejściu do zoo. Poprosiłem go, żeby załatwił mi dobre miejsce przy egzekucji. Omijamy główną bramę, gdzie zgromadził się już tłum żądnych widowiska gapiów i wszelkiej maści ułomnych oczekujących cudu z rąk Marszałka. Wchodzimy boczną furtką; Kurt prowadzi mnie alejkami Ogrodu, wśród klatek z małpami i ptakami, do samego placu egzekucyjnego. Siadamy na miejscach zarezerwowanych dla pracowników Ogrodu. Plac jest dużym amfiteatrem, połączonymi z wybiegiem dla lwów. Naokoło wznoszą się rzędy ławek, nad którymi góruje błękitna trybuna dla dostojników państwowych, zwana oficjalnie Trybuną Ludu. Większość ławek jest już zapełniona; obszar wokół Trybuny zajęli policjanci i conandosi w błękitnych, reprezentacyjnych mundurach z wyhaftowanym godłem państwowym – Lwem trzymającym w łapach Glob.

– O której mają go przywieźć? – pytam Kurta.

– Za pięć dwunasta. Helikopter zrzuci go tu na środek placu, potem Dziadek wygłosi okolicznościową mowę i wypuszcza lwa. – Kurt jest trochę niespokojny, wierci się i zaciera ręce. – Zwykle jest to Saba, jest on specjalnie tresowany do

wykonywania wyroków, ale dziś źle się czuje. Musieliśmy przygotować Sabrinę. Nigdy jeszcze nie uśmiercała skazańców, boję się, że Marszałek może być z niej niezadowolony.

Byłby to dla Kurta cios; spodziewa się w niedługim czasie awansu na dyrektora zoo. Nic dziwnego, że chce, by lew, za którego jako zastępca dyrektora do spraw politycznych jest odpowiedzialny, spisał się bez zarzutu. Im sprawniej zagryzie on mojego dawnego przyjaciela Augustina, tym pewniej mój aktualny kumpel Kurt osiągnie wymarzone stanowisko.

Ukryta orkiestra wybucha znienacka melodią hymnu państwowego. Boże chroń Wodza... Wstajemy. Wszyscy patrzą ku Trybunie Ludu. Tak. Wchodzi On, Marszałek, Dziadek Narodu, w otoczeniu rodziny, księży i zaufanych tajniaków. Nasz Wódz ma dużą rodzinę: oprócz żony – trzech synów, dwie córki i sześcioro wnuków. Siadają obok niego. Orkiestra kończy grać hymn, siadamy także i w tym momencie dochodzi nas warkot silników; na niebie pojawia się ciemna plamka, szybko się powiększająca. Śmigłowiec hańby; maszyną tą, koloru skóry skazańca z wypalonymi piętnami, transportuje się na miejsce straceń „szczególnie odrażających przestępców”. Podlatuje i zawisa nad placem. Z kabiny wychyla się pilot w błękitnym hełmofonie. Salutuje Dziadkowi; ten łaskawie macha ręką, na znak, że dostrzega ów obowiązkowy dowód szacunku. Głowa pilota znika, po chwili otwierają się drzwi śmigłowca i ktoś zostaje wypchnięty. Spada z wysokości pięciu metrów na murawę placu – ten punkt ceremonii ma ponoć symbolizować duchowy upadek zbrodniarza, jak szepce mi do ucha Kurt. Nawet o tym nie wiedziałem. No, ale Kurt w tym siedzi, od dawna bywa z racji swej funkcji na każdej takiej imprezie.

Wyrzucony człowiek powoli się podnosi. Jest nagi; środki – jak się to oficjalnie mówi – przymusu bezpośredniego conandosów von Rottberga zostawiły na jego ciele krwawofioletowe ślady. W zapuchłej od razów twarzy z trudem rozpoznaję tego Augustina, jakiego pamiętni z lat studiów. Ale nie ma wątpliwości, że to on. Groźny „Wilk” Varallo. Obraca się ku Trybunie Ludu. Nie

może mówić; skazańcom Przed egzekucją wyrывa się język. Ale powoli wznosi w górę pięść. Potrzęsa nią. Reakcja jest taka, jakiej się spodziewałem. Tłum reaguje głuchym, wrogim pomrukiem. Dziadek jakby tylko na to czekał. Wstaje i podchodzi do mikrofonu.

– Obywatele moi! – mówi. – Oto przed wami stoi człowiek, który jak dziki zwierz zwrócił się przeciw ręce, co go karmiła; palił, mordował, gwałcił i zatrzymywał wody; słusznie mądrość ludu przydała mu miano „Wilka”! Karzące ramię sprawiedliwości dosięgło go jednak i teraz oto stoi on przed wami, czekając na los, jaki mu sami wybieriecie!

To tradycja: zgromadzony tłum teoretycznie ma prawo ułaskawić skazańca. Policjanci i conandosi pilnują jednak właściwej reakcji. A zresztą któż z tych ludzi uwielbiających swego Wodza zechciałby darować człowiekowi, co pragnął Jego śmierci?

– Pytam was więc: czy chcecie darować życie temu zbrodniarzowi? – Cisza. Nikt się nawet nie rusza. Jak zwykle zresztą po tym pytaniu.

– A więc – mówi Dziadek – wolicie, by sprawiedliwie zginął. Zatem niech spełni się wasza wola. Niech „Wilk” stanie naprzeciw lwa, który jest symbolem naszego państwa!

Rozlegają się oklaski. Nie są obowiązkowe; większość jednak klaszcze, by przypodobać się Dziadkowi. Gdy oklaski cichną, rozlega się melodyjny gong i wbiega lew. To znaczy, lwica. Nie ma grzywy.

Augustin nie rusza się. Lew powoli zbliża się w jego kierunku. Widać, że nie rozszarpał jeszcze człowieka. Patrząc na Dziadka. Usiadł wygodnie, uśmiecha się, na kolanach bawi mu się najmłodszy wnuk. Obok siedzą i rozmawiają jego trzej synowie, córki i reszta! wnuków. Jeden z księży przechyla się przez barierkę i kropi lwicę wodą święconą, uświęcając zgodnie z ceremoniałem jej paszczę na ramię sprawiedliwości (tak formułuje to ustawa). Z tego, co wiem, wodę w kropidle

nasącza się silnym środkiem podrażniającym. Mimo] tego lew nie kwapi się do ataku. Zdaje sobie sprawę, że to tylko chwilowe wahanie. Co najwyżej może zaszkodzić, jeśli potrwa dłużej, w zdobyciu awansu mojemu przyjacielowi Kurtowi.

Orkiestra zaczyna grać hejnał. Nadeszło południe.

Jak było do przewidzenia, śmierć „Wilka” spowodowała próby odwetu ze strony zdesperowanych resztek bojówek międzynarodówki libertystycznej. W ciągu ostatniego miesiąca w samej stolicy zorganizowały one dwa zamachy; w jednym z nich zginął dyrektor zoo. Kurt, oczywiście, został jego następcą. Conandoska machina zadziałała z całą bezwzględnością; po kilku dniach sprawcy zamachów zostali wykryci i ujęci. Rzecznik rządu oświadczył, że jest to już definitywny koniec libertystycznego terroru i że odtąd obywatele naszego Ogólnoświatowego Państwa będą mogli wreszcie żyć w porządku i spokoju. Teraz telewizja transmituje egzekucję zamachowców i ich współników. Patrzę, jak lew Saba wykonuje z wielką sprawnością sprawiedliwy – to słowo zawsze jest mocno podkreślane – wyrok. Kamera na moment odrywa się od jego posiłku; widać, jak Główny Dowódca Conandosów, najmłodszy syn Dziadka, uśmiechnięty ściska dłoń ojca-wodza. „Marszałek, oby żył wiecznie – mówi spiker – składa gratulacje Głównemu Dowódcy Conandosów za nieustającą czujność w obronie państwa i porządku. Oddziały Conandosów są gwarancją, że nigdy żaden wróg nie zagrozi dobru ludzkości”. Ciekawe, co powiedziałby na to oficjalny patron tej formacji? Conan Cymmerianin z opowiadań Howarda na ogół nie był darzony specjalną sympatią przez strażników porządku. No, ale nie to zafascynowało w młodości ulubionego potomka naszego Wodza. Sprawność fizyczna i umiejętność władania wszelką bronią, od kija do szybkostrzelnego pistoletu rakietowego – oto czym muszą wykazać się conandosi, aby okazać się godnymi swego patrona i otrzymać błękitną plakietkę z jego postacią.

Wyłączam telewizor i wychodzę. Idę do Instytutu; ostatnio mamy tam nawał pracy w związku z zamówieniem rządowym. W bramie

domu mijam dozorcę. Dalej kwęka i narzeka na krzyże: Dziadek go nie uzdrowił. Ale pan Antoni widział na własne oczy, jak piętnastu nieuleczalnie chorych ozdrowiało pod dotykiem rąk Marszałka. Pójdzie następnym razem; widocznie za mało ostatnio wierzył.

Przed domem widzę jakieś zgromadzenie, rzecz rzadka w obecnych czasach, gdy policja drobiazgowo przestrzega ustawy antyspiskowej. Podchodzę zaciekawiony. Jakiś pijak z gitarą wdarł się na kiosk gastronomiczny i śpiewa, nawet dość czystym głosem. „Nie frasujcie się, bracia, gdyż po ojcu syn nastanie, miecz przyniesie wrogom, a nam zmiłowanie! Nie frasujcie się, bracia, gdyż po ojcu syn nastanie...” Jedno i to samo. Pewnie jakiś maniak religijny. Zdarzają się tacy. Niektórzy z tłumu podchwytyują słowa i zaczynają śpiewać wraz z nim. Nie frasujcie się, bracia... Hm... Mglisto sobie przypominam cytaty z Biblii, chyba tak on brzmi: „Nie przyszedłem dawać wam pokoju, ale miecz”. No oczywiście. Dziś rozpoczyna się Adwent, oczekujemy wszyscy przyjscia Chrystusa, przyniesie miecz swym wrogom i zmiłowanie swemu ludowi. Bzdury. Nic nie zmieniło się na świecie od tych narodzin dwa tysiące lat temu. Dalej silni rządzą, słabi są wyzyskiwani. Kościół błogosławi silnych, skrapia święconą wodą conandoskie mundury i lwie paszcze, a słabym obiecuje raj, jeśli z pokorą przyjmą swój los. Tak zawsze było i tak będzie, a romantyczni szaleńcy w rodzaju Augustina będą kończyli w żołądku lwa lub może krokodyla, jak przyjdzie inny władca. Nie zmienimy tego.

Wokół mnie wszyscy już śpiewają i klaszczą w rytm pieśni. Łatwo chwyciło. Jak narkotyk; to jednak trafna nazwa – opium ludu... Odchodzę. Z dala jeszcze widzę, jak pod kiosk podjeżdża błękitna suka policyjna. Zabierają fanatyka.

Korytarze Instytutu są już puste o tej godzinie. Idę do swej pracowni. Jako dyrektor naukowy, jestem odpowiedzialny za najważniejszą część rządowego projektu; muszę osobiście kontrolować przebieg kluczowych eksperymentów. W pracowni jak na razie wszystko w porządku. Wskaźniki inkubatora w normie.

Spoglądam na wydruki komputera; wynika z nich, że obiekt utrzymuje się nadal przy życiu bez żadnych zakłóceń. To już szósta próba. Jak na razie, rząd musi obejść się smakiem. To nie takie proste – wyprodukować krzyżówkę człowieka i zwierzęcia. Poczekaj sobie Dziadek na swoich superludzi. Albo i w ogóle ich nie dostanie. Na razie próbujemy, zgodnie z poleceniem, z genami lwa; coś mi się jednak wydaje, że godło państwowe niezbyt chętnie krzyżuje się z homo sapiens. Jeśli i ta próba zakończy się fiaskiem, spróbujemy poprosić pana ministra, by pozwolił nam zmienić materiał. W ogóle denerwują mnie te wszechobecne państwowe przesady. Jednak miał rację świętej pamięci Augustin, kiedy dawno temu mówił, że dzisiejsze czasy są kuriozalną mieszanką rozsądku i państwa... Komputery, roboty, inżynieria genetyczna – a z drugiej strony uzdrawianie ludu dotknięciem wodzowskich rąk, czy rozkaz, by pierwszym zwierzęciem, z którym skrzyżuje się człowieka, był symbol naszego Ogólnoświatowego Państwa – lew. Albo rytualne egzaminy w szkole conandosów, gdzie kandydaci muszą stoczyć pojedynek na śmierć i życie z reprezentującym Złe Moce człowiekiem-wężem; jego rolę odgrywa skazany na śmierć kryminalista. A wszystko dlatego, że synek Dziadka w młodości czytał literaturę fantasy...

No, powiedzmy, że wszystko dobrze. Mogę iść. Za osiem godzin trzeba będzie znowu tu przyjść i skontrolować proces. Prawdę mówiąc, nie wierzę, by eksperyment się powiódł. Im szybciej cały projekt trafi szlag, tym lepiej. Prędzej będzie można się wziąć za jakąś sensowną robotę. Na przykład zbadać dokładnie, na co zachorowała ulubiona lwica Kurta, Sabrina. Stało się to wkrótce po jej występie w roli ramienia sprawiedliwości; zoowscy weterynarze nie potrafili nic konkretnego ustalić. Ugiąłem się pod prośbami Kurta i wziąłem jego pupilkę do Instytutu, ale dopóki mamy na głowie projekt „Lwoczłowiek”, nie możemy marnować czasu na jej leczenie. Na razie leży w piwnicy, podłączona do systemu komputerowego.

Ciekawe, czy gdy uda się nam wreszcie skrzyżować człowieka z

jakimś nadającym się do tego zwierzakiem, rozlegną się protesty obrońców moralności? Tak, jak rozległy się zaraz po otwarciu Instytutu; wtedy to fanatycy z Animal Liberation Frontu całymi dniami urządzali demonstracje przeciw wiwisekcji. Stało się to gwoździem do trumny ich ruchu: w końcu Dziadkowi znudziły się pikiety i wysłał conandosów z rozkazem, by pochwyconych przekazać Instytutowi do doświadczeń zamiast ich ukochanych zwierzątek. Posłużyli w badaniach nad – o ile dobrze pamiętam – nową odmianą środka przeciwrakowego. Nikt, oczywiście, nie ośmielił się w Instytucie sprzeciwić; sprzeciw groził znalezieniem się w tej mniej wygodnej roli podczas eksperymentów. Od tej pory nie słyszałem już o działalności ALF-u. Być może, część z jego aktywistów przystała do bojówek międzynarodówki libertystycznej.

Wracam do domu. Jutro czeka mnie kolejny dzień wypełniony po brzegi bezsensowną pracą. W telewizji pokazują defiladę: flagi, mundury, portrety Dziadka. Jedna z jego córek obchodzi urodziny. Za kilka miesięcy urodziny będzie obchodził sam wielki wódz. W planie mamy zdążyć do tego dnia. Sądzę jednak, że będą z tym problemy. Chyba że pozwolą nam odczepić się wreszcie od tych lwów.

Twarz ministra zdradza zdenerwowanie.

– Nie może być mowy o zmianie gatunku – mówi. – Lew jest symbolem naszego państwa, przedstawia moc całej ludzkości. Marszałek, oby żył wiecznie, wyraźnie życzy sobie, żeby właśnie z tym królewskim zwierzęciem skrzyżować nowoczesnego człowieka. Nie możemy go zawieść. Musimy pokazać światu potęgę nauki w służbie państwa!

– Ale już dziesięć prób zakończyło się niepowodzeniem – tłumaczę. – Lew i człowiek to zbyt różne organizmy. Gdybyśmy zaczęli od zwierząt bliższych ludziom, jak goryle czy szympansy, być może rezultaty osiągnęlibyśmy wcześniej. A potem poszłoby łatwiej i z antropoleonidami.

– Czy pan oszalał? – minister zrywa się i zaczyna chodzić po gabinecie. – Pan się zastanowi, co by to było, gdybyśmy na urodziny Marszałka, oby żył wiecznie, przedstawili mu niezdarnego, prymitywnego małpoluda? Ośmieszyłoby to zarówno nas, jak i nie daj Boże, cały resort, że wydaje miliony na takie pomysły. Kolego Biernacki, to musi być lwocząłowiek! Damy panu dodatkowo sto milionów.

– A czy nie można by – wtrącam się – zrezygnować z uświetniania urodzin Marszałka? Mielibyśmy więcej czasu, wynik...

– Nie możemy do tego dopuścić. Jak się nie uda, jest niemal pewne, że i pan, i ja pożegnamy się z naszymi stanowiskami. Widzi pan, obiecałem to – minister ścisza głos – Marszałkowi, oby żył wiecznie, podczas przyjęcia z okazji pierwszej komunii jego najmłodszego wnuka. Słyszeli to wszyscy najważniejsi dygnitarze i cała rodzina naszego Wodza. Byłem dobrze podpity... Ale słowo się rzekło... Kolego Biernacki, pan jest moją ostatnią nadzieją. Ile pan potrzebuje?

Milczę. Musiał, kurczę, wyskakiwać z takim idiotycznym zobowiązaniem? Też mi Minister Nauki i Postępu... Ale w sumie nie mam wyboru. Albo solidarnie zlecimy, albo przedstawimy Dziadkowi na urodziny antropoleonida, choćby ten dzień później miał zdechnąć i choćby nie miało to większej wartości z naukowego punktu widzenia.

– Jak dostaniemy trzysta milionów, może zdążymy – odpowiadam.

– W porządku! – minister wraca za biurko, chwyta za długopis i zaczyna wypełniać formularze. – Otrzyma pan te pieniądze już dziś. Wpłacimy ekspresem na konto Instytutu. I niech pan, na miłość boską, zdąży!

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecuję. A więc jeszcze raz państwo zatriumfowało nad rozsądkiem. Trzeba będzie zadzwonić do Kurta, by załatwić kolejne partie lwów. Jak tak dalej pójdzie, może wreszcie zostaną wytępione i skończą się krwawe

widowiska w zoo... Opuszczam gabinet i budynek szacownego Ministerstwa Nauki i Postępu. Na ulicy pada śnieg, to środek zimy, chodniki oblodzone, trzeba uważać, by źle nie stąpnąć i nie skrzywić nogi. Na parkingu jakieś zamieszanie. Grupa młodych ludzi obsiadła jeden z samochodów – no tak, to mój chevrolet, wyróżnia się pośród gromady volkswagenów, fiatów i krabów. Proszę ich, żeby się odsunęli. Nie reagują. Śpiewają jakąś znaną piosenkę – no jasne, przypominam sobie, gdzie słyszałem ją po raz pierwszy. Na wysokości kiosku gastronomicznego koło mojego domu. „Nie frasujcie się, bracia...”. Bardzo się rozpowszechnił ten religijny kicz. Advent się skończył, Boże Narodzenie przyszło, a grupy obdartusów i wyrostków śpiewają to dalej po ulicach. Z początku policja tępiła śpiewaków, teraz widać przestała to nawet robić. Lepiej, by młodzi śpiewali, a nie rzucali bomby. Kto wie, może wymyślił ją nawet w tym celu jakiś spryciarz w Ministerstwie Porządku i Bezpieczeństwa? Musi w sobie coś mieć jej melodia, że przyczepia się tak do człowieka. Na okrągło śpiewa się te cztery linijki – jak dawniej Hare Kriszna.

– Bracia – odzywam się – frasuję się, bo nie pozwalacie mi odjechać. A w ogóle, ciekawi mnie, dlaczego śpiewacie? Boże Narodzenie, o ile wiem, już minęło.

Przerywają śpiew. Jeden z nich, długowłosa i długobroda, wpatruje się we mnie nieprzytomnym wzrokiem.

– Nasz advent trwa nadal – odpowiada wreszcie. – Tamto Boże Narodzenie to tylko urodziny Boga księży, Boga, który jest bajką. Księża wystawiają drewniane kukły i każą nam wierzyć, że gdzieś żyje wszechpotężny i wszechdobry duch, który stworzył ten świat. Sam powiedz, bracie, czy gdyby to była prawda, świat mógłby wyglądać tak, jak wygląda? Księża kłamią. Świat jest wieczny, a Boga nie ma. Jeszcze nie ma. Ale bliski już czas, gdy narodzi się Ten, co nie będzie potrzebował kropideł i kukieł, Biblii i Koranów, przykazań i ofiar. I powiadam ci, bracie, że będziesz należał do pierwszych, którzy Go ujrzą. Jeśli chcesz być zbawiony, śpiewaj. Przez śpiew

bowiem prowadzi droga do wyzwolenia.

Daje znak i grupka fanatyków schodzi z mego chowoleta. Lokują się na pobliskim fiacie i znów rozpoczynają śpiew. Za kilka miesięcy lub lat znikną z ulic, ot, jeszcze jedna z nietrwałych sekt. Może przetrwają wystarczająco długo, by któryś ze znanych zespołów pop zrobił z tego przebój. A na razie – cóż... Nie frasujemy się, bracia. Może uda się nam stworzyć antropoleonida w prezencie dla Dziadka. Zastosujemy pola wibracyjne i bioelektroniczne. Wysokie i niskie częstotliwości. Biogenitynę i neowitaminy. Mamy pięć miesięcy. Nie frasujemy się, bracia.

Rozstrzygnie się dzisiaj moje być albo nie być na stanowisku dyrektora Instytutu Biologii... Wszyscy od rana czuwamy w pracowni, przyjechał nawet Minister Nauki i Postępu. Nie dziwię się mu: od naszego powodzenia zależy i jego kariera. Zdążyliśmy z przygotowaniem ulepszanego embrionu w ostatniej chwili. Zaszczepiliśmy go przysłanej nam z Centralnego Więzienia ochotniczce i zdecydowaliśmy się na maksymalne przyśpieszenie; w tej chwili embrion jest już prawie całkowicie wykształconym antropoleonidem.

Ochotniczka leży gotowa do porodu na stole laboratoryjnym. Diagnostycy cały czas się przy niej uwijają, mierzą tętno, temperaturę i inne duperele, na których się za bardzo nie znam. Liczę na to, że poród odbędzie się dzisiaj i że utrzymamy antropoleonida do jutra, to jest do urodzin Dziadka. Jeśli o to chodzi... Od tygodnia już w stolicy prawdziwy cyrk, miasto udekorowane błękitnymi flagami, wizerunkami Lwa trzymającego w pazurach Glob, portretami Dziadka samego i z rodziną, chyba nie ma ani jednego nie udekorowanego budynku, conandosi i policjanci się ćwiczą, by dobrze wypaść na defiladzie, w telewizji ciągle lecą filmy o życiu Dziadka i jego pracy dla ludzkości, prasa już od tygodnia wychodzi z błękitnymi pasami, a jutro wszystkie gazety mają po raz pierwszy ukazać się całe w państwowym błękicie. Szaleństwo. Po defiladzie przewidziano zbiorowy seans leczenia dotykiem

wodzowskich rąk, dla blisko pięciu milionów osób; wystarczy, by trzymały się za ręce. My, jak wszystko dobrze pójdzie, dołożymy swoją skromną cegiełkę do jutrzejszej fali uniesienia. A jeśli jej nie dołożymy, to ktoś dołoży nam. Patrząc na wydruki komputera: nie ma raczej szans na naturalny – o ile to słowo tu cokolwiek znaczy – poród. Trzeba będzie chyba spróbować wyjąć szczenię operacyjnie; miejmy nadzieję, że przeżyje. Morris, mój asystent, sprowadził zapobiegliwie księdza, niech mu będzie. Jeśli w to wierzy, będzie spokojniejszy. Minister krąży nerwowo po pracowni. Podśpiewuje sobie pod nosem, no tak – oczywiście „Nie frasujcie się, bracia”. Swoją drogą, ten, kto wymyślił tę piosenkę, musiał odznaczać się dużym talentem.

– Pan też należy do tej sekty? – pytam z głupia frant. Minister wybałusza oczy.

– Co? Ee... no... co też pan mówi? Tak mi się to jakoś nasunęło na język...

Nadal jednak słyszę skądś tę irytującą melodię. Uświadamiam sobie, że to z zewnątrz. Wychodzę na korytarz i wyglądam przez okno. Kilkudziesięciu obdartusów – „braci niefrasobliwych”, jak ich w telewizji nazwał satyryk Capello – zgromadziło się przed Instytutem i śpiewa na cały głos. Waham się, czy nie zadzwonić po policję, ale w końcu rezygnuję. Ostatecznie to, że nie podoba się komuś jakaś melodia, to jeszcze nie powód, by wsadzać ludzi do aresztu. Wracam do pracowni. Nie możemy już dłużej czekać. Daję znak chirurgom, by rozpoczęli przygotowania do operacji. Wytaczają stół wraz z ochotniczką do sąsiedniej, wysterylizowanej sali; reszta pracowników ze mną na czele będzie śledzić przebieg operacji na monitorach. Czuję ogarniające mnie zdenerwowanie.

Wraz z rozpoczęciem zabiegu zaczynam śledzić dane płynące z komputera. Wskazują one, jak przebiegają funkcje życiowe płodu. Ciśnienie, rytm serca, prądy układu nerwowego. Na razie wszystko gra; widzę, jak wyciągają z rozkrojonego ciała

ochotniczki coś mokrego, oślizgłego... To on! Nasz lwoczłowiek. Za chwilę zostanie odcięta pępowina. Wstrzymuję oddech. Jeszcze moment i... Udało się! Komputer sygnalizuje, że antropoleonid zaczął samodzielnie oddychać. Widzę go przez monitor. Mała, podobna do lwiej główka, ciało podobne do ludzkiego, ale porośnięte puchem sierści.

– No – mówi Morris – z pomocą Pana... – Przerywa mu nagłe buczenie sygnału alarmowego i migotanie wskaźników. Coś się dzieje. Cyfry zaczynają wariować. Jakieś zaburzenia. Teraz, gdy teoretycznie nic już nie powinno się zdarzyć! Cały z spół, za pomocą automatów, stara się przywrócić wskaźniki do normy. Na próżno. Podawane leki nie skutkują. Patrzę na ekran, widzę jak krzywa oznaczająca rytm serca antropoleonida powoli wygład się... zamiera. Jeszcze chwila i staje się płaska.

Szczenię leży nieruchomo, martwe. Nie mogę wydobyć słowa Czyżby to było ostrzeżenie od natury, żeby nie łamać jej praw, próbując ze sobą skrzyżować dwa tak odmienne gatunki? Niech na to odpowiedzą filozofowie. Czuję zmęczenie. Minister Nauki i Postęp blady, mruczy pod nosem piosenkę „niefrasobliwych braci”. Morris spocony, pali papierosa. Ksiądz modli się za duszę antropoleonida.

– No cóż – zabieram głos – prawdopodobnie za parę dni Instytut dostanie nowego dyrektora. Chciałbym wyrazić nadzieję...

Przerywa mi kolejny alarm. To z sali, gdzie leży Sabrina! Coś tam się musiało stać, coś nieprzewidzianego, z czym komputer nie umie sobie poradzić. Jeszcze tylko tego teraz brakowało! Idę z Morrisem zobaczyć, co się tam dzieje, zostawiając resztę z trupem lwoczłowieka i ministrem, który też wygląda jak trup. Przechodząc korytarzem rzucam przypadkowe spojrzenie przez okno i zdumiewam się. Cała ulica, okna domów, pobliskie dachy, wszystko jest zajęte przez „braci niefrasobliwych”. Śpiewają. Widzę, że tych z tyłu zatakowała policja: armatki wodne, pałki, gazy... Ze zdziwieniem obserwuję, że „bracia” się bronią. O ile pamiętam, nigdy tego nie robili, zawsze dawali się

zgarniać pokornie jak barany. Musiało się stać coś niezwykłego. Nie mam jednak czasu na rozmyślanie, bo alarm ponagla. Schodzimy do podziemi, gdzie umieszczono Sabrinę. Wpadamy do jej pomieszczenia. Lwica leży na boku, sztywna, z bezwładnym łbem i zamkniętymi ślepiami. Wyglądałaby jak martwa, gdyby... gdyby coś nie kotłowało się w jej brzuchu; wyraźnie widzę, jak skóra gwałtownie pulsuje. Podchodzę bliżej i w tym momencie coś przebija od wewnątrz brzuch Sabriny. To coś jest wąskie, ostre i lśni. Lśni metalicznie.

Stoimy i patrzymy, jak ta rzecz wycina otwór w skórze lwicy. Nic, co znam, nie zachowuje się w ten sposób. Czuję dreszcz. Spoglądam na Morrisa, jego twarz, zwykle czarna, jest popielata.

– Może... może zawołam pozostałych? – pyta.

– Idź, powiedz, co się dzieje i zawołaj wszystkich – mówię. Morris w jednej chwili jest za drzwiami. Tymczasem coś zaczyna wyłaniać się z trzewi lwicy. Ma dwie ręce, dwie nogi, jedną głowę... i wygląda jak człowiek, jak dziecko w miniaturze. Uznaję, że mam halucynacje i zamykam oczy.

Odwracam się i zaczynam liczyć do dwudziestu. Gdy dochodzę do sześciu, słyszę na górze jakieś wrzaski i tupot wielu nóg. Osiem, dziewięć... Hałas narasta, ktoś zbiega po schodach, słychać obce głosy, w następnej chwili czuję, że nie jestem już sam w sali i otwieram oczy. Wokół siebie widzę twarze, które najmniej spodziewałem się tu ujrzeć: długie włosy i brody „braci niefrasobliwych”. Wszyscy oni nie zwracają na mnie uwagi; wpatrzeni są w coś, co jest za mną. Idę za ich wzrokiem.

Przede mną stoi człowiek. I to wcale nie w miniaturze; to, co widzę, jest dużo większe od tego, co wyłaniało się z ciała Sabriny. Wygląda jak normalny, piętnastoletni chłopak. Wydaje mi się, że śnię: jest kompletnie ubrany w niesamowity, połyskujący strój, a w ręce trzyma długą szpadę, czy też

miecz. Jego rysy wydają mi się dziwnie znajome. Przez chwilę jego wzrok spotyka się z moim. Chcę coś powiedzieć, ale on odwraca się ku leżącemu za nim, wypatroszonemu ciału lwicy. Pochyla głowę.

– O matko moja – szepce. – Wybacz mi, że musiałem przynieść ci śmierć.

Obraca się z powrotem.

– Oto jestem, bracia – odzywa się. – Zrodziłem się tak, jak przepowiedział wam mój ojciec, z jego krwi, wychłęptanej przez królewicę, i z waszej wiary, wyrażonej wspólnym śpiewem nadziei. Złączmy się w nim jeszcze raz, zanim pójdziemy pożreć naszych wrogów.

Podczas gdy „bracia” śpiewają wraz z tą niesamowitą istotą, uprzytamniam sobie, kogo mi ona przypomina. Tak, to niemożliwe, a jednak... To Sabrina rozszarpała Augustina, nie Saba. I to ma rysy Augustina. Wiara czyni cuda...

„Bracia” kończą śpiew. Chłopiec wznosi szpadę-miecz; otacza go niezwykle światło. W milczeniu rusza do wyjścia. „Bracia” idą za nim. Teraz dopiero zauważam, że przy drzwiach leży kilku policjantów, martwych i nienaturalnie powykręcanych. Chłopiec zatrzymuje się.

– Ten dom był źródłem zła – mówi. – Zostanie pożarty wraz ze wszystkim, co tu pracowało.

Ze szpady-miecza tryska smużka światła i dotyka ściany. Mury Instytutu zaczynają drżeć. Chłopiec uśmiecha się do mnie ostrymi, prawdziwie lwimi zębami i znika za drzwiami. „Bracia” jeden za drugim idą za swoim bogiem.

Próbuję się ruszyć z miejsca. Nadaremnie.

-Ale Augustin był moim przyjacielem! – krzyczę. Nikt nie odpowiada. Mury drżą coraz silniej. Już wiem, że nie zostałem zbawiony.

Autor: Jacek Sierpiński

Źródło: sierp.libertarianizm.pl